

ISSN 1898-2093
07
9 771898 209103

DOBRE STRONY ŻYCIA

vege

nr 7/8 (32/33)
lipiec / sierpień 2011

Viva!

Cena: 6 zł (w tym 7% VAT) nr indeksu 236675

MONIKA MROZOWSKA

PRZEMYTNICZKA GROSZKU

W STRONĘ WAKACJI

OPALAJ SIĘ BEZPIECZNIE
GDZIE I CZYM POJECHAĆ
LODY PO WEGAŃSKU
PIES NA URLOPIE

survival

jak to się robi po polsku

TURCJA

PLAŻA I FIGLE CZASU



jego własny survival...

wstęp: Iwona Ludwinek
tekst: Krzysztof J. Kwiatkowski

Survival kojarzony jest z przerośniętymi chłopcami bawiącymi się w wojnę, skaczącymi przez porozwieszane liny, pływającymi w błocie, by... Właściwie **nie wiadomo, po co?**

Krzysztof
J. Kwiatkowski:
pedagog, pol-
ski propagator
survivalu,
w środowisku
znany jako
„Kisek”



No więc po co? By odreagować smutną codzienność? By udowodnić coś komuś? Sobie? Zapytałam m.in. o to Kriska, Krzysztofa J. Kwiatkowskiego, który jest osobowością, według mnie, wybitną. To człowiek, który swoją pasją zaraża innych, starszych i młodszych, uczniów w wieku szkolnym i statecznych rodziców.

Odpowiedź otrzymałam czytając jego blog:

„Nie chodzi mi bynajmniej o wczasowanie. Ani tylko o kontakt z zielenią, świeżym powietrzem i ptaszkami. Wejście w świat survivalu przemienia, na szczęście nieodwracalnie, nasze dusze. Czyni z nas, plastikowych kukieł, żywe istoty, znające swą wartość, mające potrzebę przygarnięcia do serca całego świata i w dodatku mające tego możliwość. Pod jednym wszakże warunkiem: że nie bierzemy survivalu za kolejny wytwór sfrustrowania, że nie bawimy się weni mechanicznie, bez polotu, bez ludzkich, subtelnych emocji, że nie uczynimy zeni maszyny wojennej, by ruszyć kiedyś przeciw innemu człowiekowi...

Mogę cię zapewnić, że survival sprawdzi się, gdy zajmiesz się nim w tym szczególnym okresie, kiedy będziesz szukał Boga. Albo Człowieka. Albo sensu życia. Albo samego siebie...”

Krisek w swoim tekście napisanym specjalnie dla Vege, wprowadza w baśniowy, a przecież jednocześnie tak realny świat, który możemy zobaczyć i poczuć tuż za rogiem, bo w naszych polskich Bieszczadach. Tam organizowane są dwutygodniowe wyjazdy, podczas których ważne jest wspólne przebywanie i uczenie się siebie i rytmu natury. Bez nadymania się. Bez zakładania masek. Bez narzuconej z góry ideologii.

Sam się przekonaj....



Survival pojawił się w moim życiu niespodzianie, ale nie nagle. Już jako dziecko lubiłem dzicz. Jako nastolatek robiłem dłuższe wyjścia w nieznanie. Samotnie wyjeżdżałem na wakacje, na autostop. Zabrzmi to banalnie, ale jest to najbardziej naturalny sposób. Bo zawsze była to przygoda związana z wyjazdem w dziki teren i próby pogodzenia własnych potrzeb z tym, co dawały góry i las.

Nie spodziewałem się, że odejście od cywilizacji przynosi takie upojenie. Właściwie powinienem się tego spodziewać – czytanie „Przygód Hucka” autorstwa Marka Twaina daje nam pierwsze znaki. „Robinson Crusoe” jest opowieścią o człowieku, który znalazł się w sytuacji odosobnienia wbrew swojej woli. Ale Huckleberry Finn był tym kimś, kto ruszył w świat z własnego pragnienia.

Właśnie usłuchanie własnego wewnętrznego głosu jest sprawą niezwykle ważną. Zmuszanie do czegośkolwiek, nawet do walki o własne przetrwanie, czyni działania mozołem i szarpaniną. Własny wybór – przygoda. Jak wiemy, przygoda składa się ze zdarzeń niespodzianych a dających dobre zakończenie i satysfakcję. Daje często i inny ważny dar – wiarę w siebie.

Człowiek zawsze szuka szczęścia. Ludzie naiwni sądzą, że są to skarby, królewna za żonę oraz rycerska sława. Zapominają, że baśnie są w dziecięcych latach natchnieniem, ale w latach dorosłych, bezrefleksyjnie realizowane, stają się naiwnością i brakiem kontaktu z rzeczywistością. Zresztą dorośli są niespójni w tym, że oficjalnie w nie wierzą, nie szukają w nich natchnienia, ale jednocześnie ich codzienne myślenia wraz z oczekiwaniami są jak najbardziej mrzonkami. Niektórzy nie pamiętają swego dzieciństwa, wręcz potrafią się go wypierać.

Baśnie pokazują, że starsi bracia – ci mądrzejsi i lepsi – przegrywają. Najmłodszy, i traktowany jak najgłupszy, Jasio – wygrywa. Tamci bowiem przegrywali przez swoją pychę, chciwość, brak miłosierdzia, zaś Jasio posługiwał się prostolinijnym myśleniem i wierzył naturze. Stąd wzięły się w baśniach te owady, ptaki i zwierzęta tak chętnie mu pomagające.



Byłem zawsze nasączony myślą baśniową, ale przekładałem ją na dorosłe rozumowanie i język. Dorosłe wkraczałem w baśnie razem z podopiecznymi. W ten sposób wspólne wyjazdy na łono natury wypracowały pewne żądanie: niech będzie trudniej, niech będzie bardziej niespodziewanie, niech pojawi się możliwość samosprawdzenia. W ten sposób zwykłe wyjazdy przeobraziły się – aż któregoś dnia wszyscy stwierdzili, że zapewne tak właśnie wygląda survival, zwłaszcza że to zawsze były Bieszczady.

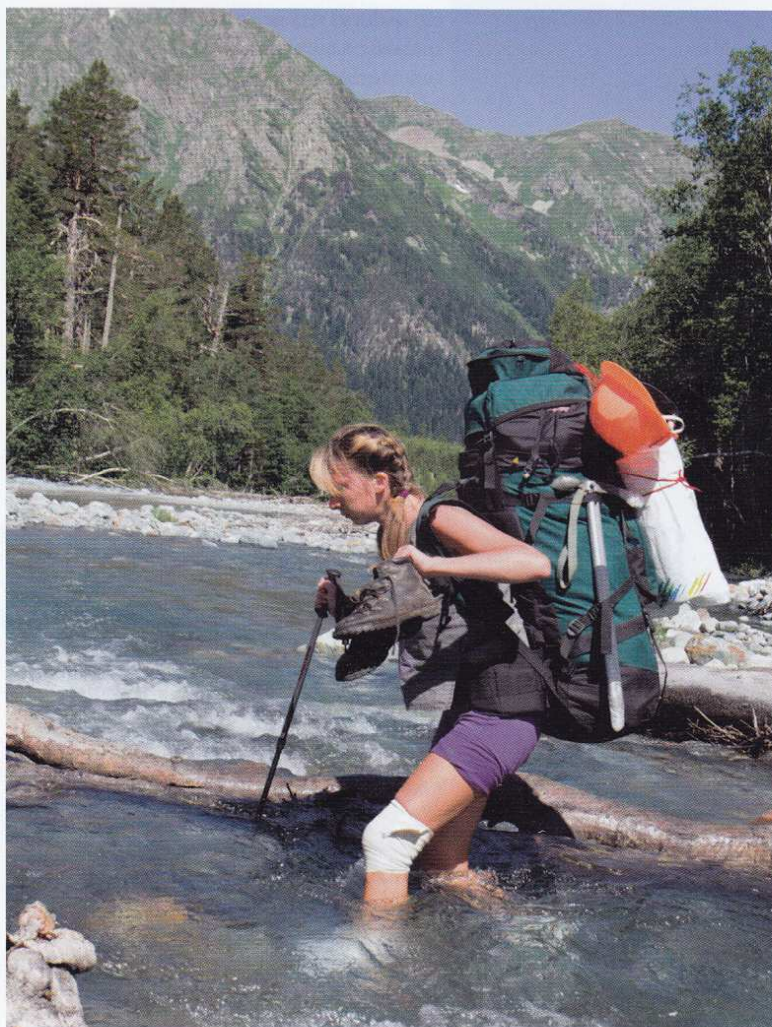
Było to zerwanie niemal ze wszystkim, co zgotowała cywilizacja (poza wyposażeniem i ubraniem): chodziliśmy bezdroża-

mi, spaliśmy w lesie, ćwiczyliśmy kontakt z naturą. Coraz mniej było kupionej żywności, coraz większy udział własnego, leśnego chlebaka oraz dziko rosnących roślin.

Najpierw wszystko tworzyło się spontanicznie i w wyniku mnożenia własnych pomysłów. Nie było w Polsce żadnej literatury, nikt jeszcze nie wspominał nawet czegoś takiego. Gdzieś

działały pierwsze drużyny harcerskie, które również dojrzewały. Podopieczni byli żądni wiedzy – tak powstała moja pierwsza książka „Survival po polsku”. Była pochwałą survivalowego życia, uwalniania się od cywilizacyjnych zależności – wszystko bez szaleństwa czy fanatyzmu, z rozsądkiem. Jak opowieść przy ognisku, miała motywować. Celem była przemiana w człowieka autonomicznego, rozsądnego i odpowiedzialnego, nieoderwanego od rzeczywistości oraz... ratownika.

Stopniowo wyjazdy stały się regularne. Dołączali ludzie spoza naszego grona – krewni, sąsiedzi, koledzy. Potem pojawiali się ci,



którzy coś słyszeli, znaleźli w internecie. Powoli rósł nasz dobytek, który pozwalał realizować coś więcej. Namioty, sprzęt obozowy, sprzęt linowy, gps... Jestem pedagogiem, więc nie zaniedbałem tego, by wszyscy mający jakieś życiowe problemy mogli podczas dwutygodniowego bytowania uporządkować coś w sobie. Nigdy nie były to zajęcia terapeutyczne, ale zdarzenia towarzyszące – dawałem wszystkim możliwość skorzystania.

Stało się tak, że pierwsi uczestnicy – po paru ze mną wyjazdach, po nabyciu sporej survivalowej

wiedzy, po obserwacji moich pedagogicznych oddziaływań – stawali się moimi asystentami. Potem oni wychowywali kolejnych. A ci następnych... Tak od ponad 20 lat. Dawni 12–16-latkowie rośli. Znacznie ponad połowa uczestników wyjeżdżała co najmniej trzy razy. Niektórzy – już kilkanaście. Jeśli liczyć śródroczne wypadki weekendowe – znacznie więcej. Tworzyły się przyjaźnie. Skutkowały samodzielnymi wypadami w różnych grupach, beze mnie.

Dość wcześnie powstały reguły wspólnego życia. Pierwsze wpłaty za obozowanie były duże.

Ale z każdym kolejnym wyjazdem malały, aż spadały do zera. Ten system pozwalał na dwie rzeczy: utrzymywanie tych, którzy już nie płacili (albo nawet na początku nie było ich stać na wakacje) oraz naprawianie i wymianie zużytego sprzętu, a także nabywanie zupełnie nowego, innego. Każdy, kto wyjeżdżał wielokrotnie i był „swoim”, mógł z tego sprzętu korzystać w razie potrzeby.

Reguły sprowadziły się do określenia osobistej swobody w grupowym życiu. Nie było ciszy nocnej (można było siedzieć przy ognisku aż do świtu, byle nie przeszkadzać śpiącym), nie było pobudek (ale śniadanie trwało w określonym czasie). Wszyscy samoistnie włączali się w obozowe czynności.

Określono, że najbrzydszym używanym słowem będzie „dupa”. Doszło do tego, że ktoś bardzo zły na jakąś sytuację (uderzył się w palec), chcąc zaznaczyć, że powód jest przerastający zwykłą „dupę”, wypowiadał ją wielokrotnie... Powodów wynikających z życia wspólnotowego nie było. Zresztą... zabierałem wyłącznie tych, którzy mieli na to ochotę. Na nic się zdały rodzicielskie próby, żeby wysłać ze mną dziecko na siłę.

Uczestników było zawsze niewiele. Nie przekraczaliśmy liczby 10, nie licząc asystentów. Bywało, że na dwóch uczestników przypadał jeden asystent. Wszyscy czuli się zatem zadbanymi i nie mieli wrażenia, że giną w ludzkiej masie, jak na koloniach. Zróżnicowanie wiekowe nikomu nie przeszkadzało. Ta różnica wynosiła czasem ponad 20 lat. Bywało, że dołączał ojciec z ośmioletnim synkiem. Czasem rodzina była liczniejsza.

Od lat mieliśmy zgodę nadleśnictwa na działania w jego rejonie. Oznaczało to nie tylko pozwolenie na biwakowanie i palenie ognia w dowolnym

miejsu, ale także wjazd samochodu terenowego i poruszanie się po drogach nadleśnictwa. To wiele ułatwiało – mogliśmy na przykład rozwieźć całe towarzystwo gdzie bądź i każdy samodzielnie już wędrował ku obozowisku, mając na wszelki wypadek GPS w plecaku. Powstała tradycja, że każdego roku odwiedzał nas któryś z leśników i siedział z nami przy ognisku, częstując opowieściami. A potem oddalał się nocą, ruszając gdzieś w ciemność, przed siebie. Poruszał się swobodnie i, tak jak my, nie zawsze używał ścieżek. Nieraz zdarzało się, że leśnicy informowali nas, że w pobliżu mamy niedźwiedzia. Nie wchodziliśmy misiowi w drogę, a on – wychowany z dala od Morskiego Oka – również nie zamierzał być natrętem. Ale wilcze łapy widywaliśmy nie raz. Wilki kręciły się w pobliżu, ale one chyba przeszły również porządną kindersztubę...

Przybycie w Bieszczady zaczyna się tradycyjnie od wędrowki do Cisnej. Najczęściej startujemy z Komańczy, robiąc od razu przełajowe przejście do Duszatyna, gdzie mamy jednodniową aklimatyzację, bo z formą bywa różnie. A potem w drogę!

Ponieważ na obozie są ludzie w różnym wieku i w różnej formie, wszystko jest zawsze dopasowane do możliwości tych,

którzy sobie gorzej radzą – bywało, że byłem to ja. To ważny etap – to okres, kiedy uczymy się swoich różnic w funkcjonowaniu i później nikt nie ma w głowie chęci podokuczać komuś, że sobie z czymś nie radzi. Po dotarciu do naszego bieszczadzkiego wyraju – nauka urządzania się. Zasada jedna – każdy pracuje tak, jak potrafi, ale się uczy.

Nie ma wody, bo nikt nie przyniósł. Obiadu nie ma? A ktoś przygotowywał? Zimno wieczorem, bo drewno ogniskowe spalono po godzinie? Widocznie nabierano go za mało... Każdy musi wiedzieć i podjąć decyzję. I zaradzić – sam lub z kimś. A o to, żeby było sprawiedliwie, na pewno zadbamy, bo tego też się nauczymy. Ale na podstawie własnych obserwacji i doświadczeń, a nie według rozkazu.

Gdy już przebrniemy przez ten etap, zaczynamy przygodę. Poznajemy od początku kwestie rozpalania ognia bez zapalek czy zapalniczek, gotowania w terenie, spania w namiotach lub szalasach. Teraz przychodzi pora na „szkołę przetrwania”. Na tym etapie – jak zwykle się okazuje – wszyscy już coś potrafią. Mogą się stać samodzielni. I to się dzieje. Instruktorzy są tylko doradcami. Nie ma zwierzchnictwa, bo jest wspólne przeżywanie. Program przewiduje

zdarzenia zaskakujące wszystkich, ale na miarę ich możliwości – przecież dopiero co się czegoś nauczyli.

Nikt nie narzeka. Wszyscy przyzwyczaili się myć w strumieniu. Nikt nie obawia się ciemności i lasu. Chleb robiony własnoręcznie z mąki i wody, czasem z dodatkami pociętych roślin leśnych,

Każdy tu bez przerwy realizuje samego siebie. Robię to już od dawna. I nie chcę przerwać

jest lepszy od kupnego i ma się ochotę go piec samemu w żarze. Tęsknota za „empetrójką” zamazała się w sytuacji bycia dzikusiem. Nikogo nie dziwi nowe zadanie, które polega na tym, że trzeba wziąć nóż, latarkę, karimatę i śpiwór, jeszcze parę drobiazgów i oddalić się z obozowiska o jakieś 500 m, by zbudować sobie szalasa i zorganizować własne przetrwanie w samotności bez jedzenia przez dwa, trzy dni. Sprawa polega na tym, że każdy to robi dla siebie, bo chce się przekonać. W samotności brakuje tylko wieczornych pogaduszek przy ognisku...

Nie ma przymusu podejmowania tego zadania ani wytrwania do samego końca. Jest za to pokusa, by się przekonać, czy się poddam, czy wytrwam. Każdy tu bez przerwy realizuje samego siebie. Robię to już od dawna. I nie chcę przerwać. Bo przekazuję mój własny survival innym. Spostrzegam, jak w ciągu dwóch tygodni coś się dzieje z ludźmi, bez względu na to, kim są i ile mają lat. Oczywiście im błyszczą i wierzą w siebie. Kiedy jest coś do zrobienia, biorą się za to odruchowo i nie myślą nawet o powrocie do narzekania.

Po powrocie do domu rozglądają się za kawałkiem chleba z dżemem, choć wcześniej nim gardzili. »«

